



== Pismo Ilustrowane dla Kobiet ==

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie
Kwartalnie rs. 1.
Za odosłanie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna № 26.

TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOŚI

We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń. Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

IV.

Ulubionym zakątkiem pani Heleny było uroczysko, pospolicie przez lud zwane Romanówką. Rzadko gdzie na bezbrzeżnej płaszczyźnie stepowej można było spotkać równie piękne ustronie. Na tle falujących łąnów pszenicy wyrastał niby klomb olbrzymi, lasek mały, ocalony z obszaru borów rozległych, dzięki jedynie fantazyi właściciela, który mając rozwinięte poczucie piękna w przyrodzie, pozwalał mu się rozrastać i otaczać zielonem, węzowem pasmem drzemiące w dolinie jezioro.

Kiedy po stepie szalały wichry, nie znajdując na drodze przeszkód żadnych, na dnie uroczyska panowała cisza niczem niezakłócona. Wierzchołki drzew gięły się, wstrząsane gwałtownie powiewem wiatru, który starał się przeдрzeć poprzez gąszcz krzewiaste do jeziora i wzburzyć jego senne tonie. Napróżno. Jezioro wówczas ledwie lekkim marszczeniem zaznaczało swoje życie, swój ruch; marszczyło się i żyło niby z gniewu.

Helena lubiła tę ciszę uroczyska; niekiedy godziny całe przesiadywała nad samem jeziorem, pod rozłożystym dębem. Mogła tu często zachodzić, bo było blisko, wiorsta zaledwie od dworu.

Nieraz w pierwszych latach małżeństwa rozmyślała tutaj o życiu swem młodem, o losie, co

ją gwałtem nagiął do tej nudy żywota powszedniego, do tej trywialności zmysłowej, która jej przypadła w udziale. I robiło jej się tak jakoś smutno, tak żałośnie, że mimowoli łąza kręciła się w zamglonem oku.

Szukała pociechy na ten nieujęty smutek, na tę nieokreśloną tęsknotę, co ją owiewała zewsząd, i znajdowała ją w marzeniach.

Nieraz zdało jej się, że z po za kęp ajeru i trzciny przegląda cień jakiś, co rosnąc zwolna stawał przed nią niby widmo, towarzysza lat dziecinnych, lat młodzieńczych, pełnych swobody, wolności i poezyi. To Owanes, ten sam czarnowłosy, z palącym się ogniem w oczach, a myślą głęboką na czole patrzył na nią; zdawał się przyzywać ją do siebie. Wyteżała słuch, zapominając się, cała pogrążona w ekstazie jakiejś, i o uszy jej się odbijał delikatnie jak tchnienie ducha głos luby:

„Helciu — szeptał głos tajemniczy z po za kęp ajerów i trzciny, — pamiętasz o mnie?... Chodź tutaj, gdzie ja jestem, gdzie czekam na ciebie, bom ja zawsze ten sam, zawsze jednaki!” Zrywała się, głos milknął, ajery i sitowia nieruchomie przeglądały się w toni wodnej, całując cieniami swymi lilie białe i żółte, wychylające się z wód lustrzanych.

Rzeczywistość wracała, ale marzenie zostawiało po sobie tchnienie rozkoszne, którego młoda kobieta za nic się pozbyć nie chciała. Była to jedyna jej pociecha stała, pewna, niezawodna, w niej czerpała siłę i uspokojenie niby wewnętrzne. W domu czuła się skrepowaną nawet w myślach swoich; doświadczała dziwnego uczucia przymusu na widok ścian pokoju, zacieśniających jej horyzont i dopiero tutaj, w tem uroczysku dzikiem, wyobraźnia odzyskiwała swą siłę, a odrywając ją od świata powszedniego unosiła w krainę inną, zawsze czarowną, zawsze ułudną.

I dziś nękana smutkiem i tęsknotą nieokreśloną a męczącą, przyszła tu z Zosią. Brała zwykłe na te spacerki dziecko swoje ukochane, jedyne, ten żywy łącznik, który ją wiązał z życiem,

z rzeczywistością. Kochała tę córeczkę całym uczuciem gorącym, całą namiętnością matczyną, całą nawet zmysłowością kobiecej natury. Na dziecku tem budowała swoje nadzieje, swoje ukonjenia wewnętrzne, a nawet przyszłość lżejszą — gdyż obecne życie uważała za stan przejściowy. Męża szanowała, przywykła doń nawet; był dobry, bardzo dobry, umiał ją zjednać sobie łagodnością, taktem, ale czuła, że go nie kocha tak, jak powinna, jak kochała ową marę towarzysza swojej młodości.

Całe też to kochanie, miłość całą, jaką pałała ku Owanesowi, pragnęła przelać na swą jedynaczkę.

Dziewczynka pod okiem matki zbierała z gwernantką kwiatki, wiążąc je w małe bukietki, lub też biegła za motylami różnobarwnymi, konikami polnymi, szklarkami, które latając nad rzeką ożywiały monotonię uroczyska. Czasami przybiegała w podrygach wesołych do matki, i trzymając w maleńkiej rączce schwytny owad wołała zdaleka:

— Maman, maman, j'ai attrapé une demoiselle!

— Quelle demoiselle? — zapytywała matka.

— Ah, tu as oublié, maman, qu'il y'a d'autres demoiselles que celles-là.

I śmiała się ze swego dowcipu, a matce serce rosnęło na widok wesołej i myślącej dzieciny. Głaskała Zosię i całując ją w różowe policzki, we włosy złote o popielatym połysku, mówiła:

— Zosińciu, czy ty kochasz mamusię?

— O, jeszcze jak, więcej niż babunię, dziadzie, ciocię!... — odpowiadała Zosia.

— A kogóż najwięcej ze wszystkich kochasz?

— Najprzód mamusię, a potem tatunię.

Domawiając tych słów patrzyła matce prosto w oczy, tuliła się do niej, całowała po rękach, po twarzy, po włosach.

— Pieszczoszko ty moja najdroższa — szeptała matka, — jedyna moja pieszczoszko, pociecho smutnego życia mego.

— A dlaczego mamusia smutna? — pytała Zosia, przybierając naiwne poważną minę. — Dlaczego mamusia smutna?

— Bo widzisz, mamusia już taką ma smutną naturę, każda uciecha przed mamusią ucieka i znika, a gdyby nie ty, to już mamusia by sobie rady nie dała z tym smutkiem swoim.

— O, to, to ja wiem — odpowiadała dziewczynka, — że bezemnie mamusia byłaby jeszcze smutniejszą. Ale to nic, jak ja dorosnę, to mamusia musi być wesolą.

Helena taka odpowiedź pobudzała do śmiechu.

— A dlaczegoż to — zapytywała, — dopiero wówczas, kiedy dorosniesz, mam się stać wesolą?

— Tego to ja sama nie wiem jeszcze, tylko mi się tak coś zdaje.

Potem zmieniając zwykle temat rozmowy wołała:

— Mamusiu, mamusiu, niech mamusia sobie czyta, a ja pobiegnę z m-lle Rose, ona pewnie już nabierała dużo białych konwalij, które tam po drugiej stronie jeziora rosną.

— Dobrze, idź, tylko mi przynieś bukiet konwalij, wiesz, taki mały bukiet jak zawsze!

Zosia biegła w las, a Helena wracała do swych dumań samotnych już spokojniejsza i więcej pogodzona z życiem. To dziecko szczebiotem swym zawsze umiało wzbudzić w niej weselsze myśli.

Już od kilku tygodni Zosia widziała matkę inną niż zazwyczaj; dziecko było roztropne, więc rozpoznawało zmiany zachodzące w usposobieniu osób bliższych. Cieszyła się z tego, jakby z własnego szczęścia, bo postać matki wesolej i szczęśliwej majaczyła zawsze w główce tego serdecznego dziecięcia.

Do Romanówki dziewczynka chodziła teraz codziennie, ale sama z guwernantką, matka wymawiała się zawsze prawie od tych wycieczek zajęciami domowymi. Zosia dziwiła się, że mama, taka niegdyś zamilowana w tych spacerach do uroczyska, wołała zostawać samotnie w domu i czytać książkę w salonie. Nie mogła pojąć, co ją zatrzymywało, myślała więc, że jej się sprzykrzyła ta przechadzka w jedną i tę samą stronę, proponowała zatem inne miejsca jak Osowieckie stawy, Moreckie kurhany — napróżno.

Często, kiedy wracała na podwieczorek z m-lle Rose do domu, zastawała przy herbacie pana Owanesa, który wesolo rodzicom opowiadał o swych przygodach na Wschodzie. Nie umiała sobie zdać sprawy dlaczego, ale nie lubiła tego wysokiego pana, z czarną brodą i wielkimi wąsami, bała go się prawie, choć ją ciągnął ku sobie i przywoził jakieś cukierki greckie, które jej się zresztą dosyć podobały.

Uważała dobrze, że kiedy ten czarny pan był w Teleszówce, mamusia stawała się weselszą, jakąś inną, zmienioną, prawie że rozbawioną tak, iż nawet na nią, swoją Zosię uwagi nie zwracała. Myślała więc nad tem, co pan Owanes miał w sobie takiego, iż potrafił do ich domu tyle weselości wprowadzić, bo i na tatusiu zmianę pewną znać było teraz. Spytała się przeto raz mamusi po odjeździe pana Owanesa, czemu jest taka uradowana, kiedy pan Owanes przyjeżdża do nich.

Zauważyła, że to pytanie wywołało na twarzy matki lekki rumieniec, który zaharwiwszy na moment śniade jej lica, znikł niebawem.

— Zdaje ci się, moje dziecko — odpowiedziała matka, — zdaje ci się. Zresztą pan Owanes umie opowiedzieć tyle ciekawych a zajmujących rzeczy, iż trudno się smuć wtedy.

Dziewczynka pokręciła niedowierzająco główką i rzekła:

— Ja, choćby tam pan Owanes najweselsze rzeczy mówił, nie mogłabym się śmiać i radować, bo on takie ma oczy straszne. Wie mamusia, ja się go boję, kiedy on na mnie spogląda, on tak patrzy, jakby się gniewał bardzo.

— Co ci też do głowy przychodzi. To bardzo dobry człowiek — odpowiedziała matka z lekkiem drżeniem w głosie, — on cię lubi, przecie ci przywozi cukierki, rozmawia z tobą.

— To prawda, takich dobrych cukierków nikt mi nie dawał, jak pan Owanes, ale ja wiem, że on mnie nie lubi!

— Co ty tam opowiadasz takie rzeczy, głupstwu — przerwała matka i całowała córeczkę w główkę, a myśl niespokojna zakradała się jej w takich chwilach do głębi duszy.

— Zosia go nie lubi — szeptało jej coś — i on jej nie lubi, to prawda, a nawet nie może być inaczej, ona jest murem, co nas rozdzielił i rozdziela.

Pewnego dnia Zosia powróciwszy ze spaceru nie zastała pana Owanesa. W salonie siedziała mamusia sama, a taka smutna, jak nigdy przedtem. Dziewczynce zdawało się, że mamusia płakała, bo oczy miała zaczerwienione trochę, a mała lada lada chwila miała spaść na gorączkowo zarumienione policzki.

Zrobiło jej się smutno, przybiegła do matki, trzymając w ręku mały bukiet konwalij białych, pachnących zdaleka i rzuciła jej się na szyję, mówiąc po cichu:

— Mamusia znowu smutna, szkoda, że tatusia nie ma... tatuś by nas zawiózł do babci, tam pewnie są goście.

Potem dodała:

— A pan Owanes, czy nie był dzisiaj?

— Był, moja pieśczętko.

— Więc czemuż mamusia smutna?

— Czy ja wiem, moje dziecko — odpowiedziała tęsknie matka i wzrok swój zatopiła w lustro, jakby tam kogoś gwałtem dojrzeć pragnęła.

Nazajutrz także zdziwiła się Zosia, kiedy pani Helena po obiedzie powiedziała jej, że pójdą razem we troje do Romanówki na konwalie, które się kończyły. Zosia z radością przyjęła tę wiadomość, od tak dawna już tam z mamusią nie była; zresztą spodziewając się przyjazdu tatusia chciała mu zrobić niespodziankę. Postanowiła nabierać konwalij, sasank i innych kwiatków leśnych i ułożyć bukiet duży, który zamierzała postawić w kancelaryi, wiedząc, że tem ucieszy ojca, który w samej rzeczy lubił bardzo kwiaty, a leśne nadewszystko.

W Romanówce było spokojnie, tylko świergot ptactwa przelatującego z gałęzi na gałęź i brzęk muszek przerywał ciszę. Zosia pobiegła z guwernantką w głąb lasu, a Helena usiadłszy na zwykłym swem miejscu, pod rozłożystym starym dębem wzięła książkę do ręki.

Wkrótce jednak odłożyła ją na bok, bo myśl powracała uporczywie do tego dnia wczorajszego, który minął wprawdzie, ale zostawił ślad niezatarty. Męża nie było, wyjechał kilka dni temu do Odessy za interesami zawiązaną przed miesiącem spółki zbożowej, tej samej co powstała z inicjatywy Ohany. Była sama z Zosią

i guwernantką. Owanes wedle zwyczaju przyjeżdżał co drugi dzień, wizyty swe tłómaczył interesami różnemi, wymagającymi osobistego załatwienia w Teleszówce.

Dla wszystkich częste owe odwiedziny były naturalne zupełnie, a co do niej, ona za każdym razem czuła żywiej płomień, który ją ogarniał, czuła ten prąd gwałtowny, co ją pchał ku temu ukochanemu pierwszą miłością.

Przy mężu bezwiednie oboje starali się być tylko dobrymi znajomymi, udawali przyjaciół i nic więcej, ale ile razy jednak zostali sami, odnajdywali jakieś inne tematy do rozmowy, porozumiewali się jakimś odmiennym językiem, w każdym słowie, w każdym zdaniu obojętnem prawie brzmiała ta nuta tęskna, serdecznie niekiedy rzewna, która upajała i zbliżała ich dusze ku sobie.

Roili wtedy i wskrzeszali sny ubiegłej młodości, a godzina za godziną niepostrzeżenie staczała się w nieskończoność.

On opowiadał jej, co cierpiał, co znosił, czem żył podczas onej rozłąki długiej, kołysał jej wyobraźnię obrazami uroczego Wschodu, tak pełnego czaru i miłości.

A tyle przygód dziwnych, tyle zdarzeń osobistych złożyło się na to życie fantastyczne prawie. Ona w głosie jego słyszała teraz ów ton ulubiony, w każdym błysku oka czarnego, w ruchu męzkim widziała wstrząsające nim uczucie.

Poddawała się temu urokowi, ale przerażała ją chwilami to wszystko. Odrzucała te myśli od siebie, bo ją udrecał skrupuł na widok męża, który bynajmniej nie odgadywał zmian, spełniających się w jej duszy, bo drecała ją myśl o Zosi, tem dziecku ukochanem, na które przecież wszystkie tęsknoty swoje, całą rozkosz kochania przelać chciała.

Rozumowała, pragnęła tłómaczyć przed samą sobą, że to tylko idealna przyjaźń, że to związek duchowy wspomnień tak ich łączy ze sobą, ale niepokój wzrastał. Każdą chwilę rozkoszy przeżywanej w wyobraźni okupywała krótką, lecz ostrą torturą. Wieleż to razy postanawiała sobie zerwać ten blizki, coraz bliższy stosunek z Ohaną, często chciała zmieniać ton, kierunek rozmowy, okazać mu obojętność nawet. Napróżno. Kiedy go nie było, stawała się panią siebie, gdy powrócił, a spojrzal na nią, przemówił do niej, nie mogła wytrwać w postanowieniu, siły ją opuszczały, opanowana urokiem, czarem jego, szła za nim bezwiednie, bez namysłu. On rozumiał te jej wahania, skrupuły, walki, bo przecież mu kilka razy mówiła o nich, kiedy jej dusza wezbrała, ale on tak jej umiał wszystko wytłómaczyć, a potem znów nie wiedziała jak się to stało, ale czuła dobrze, iż myśli jego myślą, marzy jego marzeniem. A mąż? on dla niej stawał się coraz bardziej obcym, kimś takim, co to jest, istnieje, bez którego życie wydało by się może dziwnem, ale swoją drogą czuła i to, że nie jest nawet częścią jej duszy, bo tam królował zawsze i niepodzielnie, ten umiłowany w zaraniu jej młodości.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



7 Października 1896 roku.

Sprawozdanie nasze zaczynamy od kapeluszy. Z powodu ciągłych słoń, mało ich jeszcze pojawia się na ulicy, ale za to przepelnione niemi magazyny pierwszorzędnych modniarek. Przy wielkiej różnaitości tych kapeluszy, pod względem formy i ozdób, to tylko powiedzieć ogólnie możemy, że wszystkie piramidalnie wysokie. Miejsce kwiatów, zastąpiły na nich ogromne pęki piór, szczególnie czarnych, zamiast upięcia z tiulu i muszlinu jedwabnego, widzimy koki z szerokich wstążek, lub draperye z mienionej materji, plisowanej i wystrzyganej w maszynie.

Kapotki i toczki, trzymają się ledwie nad czołem, odsłaniając fryzurkę i całą falę włosów upiętych lekko w tyle głowy. Okrągłe tylko kapelusze, przyjęte do pieszych przechadzek, spadają bardziej na twarz, zasłaniając ją od wiatru jesiennego. Te ostatnie zazwyczaj kastorowe, w ciemnych kolorach, a przeważnie czarne różnią się między sobą i formą i rozmiarem. Jedne z nich *à la Rembrandt*, mają rondo szerokie, niekiedy podniesione z jednej strony, przybrane na podpięciu wielkim pękiem piór strusich. Noszą je wyłącznie osoby wysokiego wzrostu, w przeciwnym razie łamią całkiem prawa harmonii. Więcej też widzimy małych kapelusików z rondem prostym, zachodzącym na czoło, lekko podniesionem od boków. Główka u nich wysoka lub niska według upodobania, lecz upięta mnóstwem piór, koków i skrzydełek. Oto kilka modeli które nam szczególnie wpadły w oko.

Kapelusik kastorowy czarny, główka niska, brzeg równy, cokolwiek nasunięty na czoło. Trzy wolanciki z zielonego aksamitu pokrywają wierzch cały. Na rondo spada wolant ciemny, dalej idzie jaśniejszy, na denku blade zielony tworzy okrągłą gwiazdę, wkoło broszy nasadzonej strasem. Od tyłu wybiega w górę egretka ze wstążki czarnej atlasowej.

Drugi kapelusik kastorowy w kolorze Hawanna.

Rondko podniesione w tyle, objęte aksamitem. Z przodu wielka kokarda ze wstążki złotawej (*viel or*) i z materji Hawanna. Ztąd przez główkę przechodzi do tyłu pęk piór kogucich w naturalnych żywych kolorach. W tyle pod rondem upięte atlasowe rozetki.

Trzeci kapelusik kastorowy koloru zwidłych liści (*feuilles mortes*). W górze upięty wielki bukiet, z przemrożonych liści begonii.

Czwarty czarny kastorowy (*Fitz Gerald*). Główka wysoka, równa; rondo średnich rozmiarów, spuszczone na czoło, od boków mocno odwinięte. Na wierzchu rześiste upięcie, z siatki, z twardego włosa czarnego, zasiane złotymi palietkami. Wybiega ztąd w górę pęk czarnych piór strusich. Pod rondem *cache-peigne* z drobnych piórek.

Piąty kapelusik szary kastorowy, główka niska nad rondem fantastycznie upięta, materya mieniona szafirowa z zielonem. Z pomiędzy tego upięcia wybiegają okrągłe końce pawich piórek.

Najoryginalniejszy ze wszystkich, okrągły kapelusik zwany *Isabeau*. Główka u niego szeroka powleczone futerkiem gronostajowem. Takie rondo objęte aksamitem czarnym. Wkoło główki pletnia ze stali i oksydowanego srebra (*viel argent*). Nad tem ptak rajski czarny, wysunięty do przodu. W tyle *cache-peigne* z ruszy aksamitnej.

Przejdźmy teraz do kapotek, przyjętych głównie na wizyty i do teatru.

Podobała nam się bardzo czarna aksamitna: główka u niej płaska, nad czołem idzie draperya, przypięta z każdej strony broszą złotą. Powyżej biała atlasowa kokarda, od niej wybiega w górę sześć czarnych piór kapłonich, jak rozwinięty wachlarz.

Druga kapotka aksamitna zielona (*vert du Nil*). Nad czołem dyadem, ułożony z samych czubków czarnych piór strusich. Pęk wielkich piór umieszczony w pośrodku, wysoko sięga w górę.

Trzecia kapotka: denko jej uplecione z grubej szneli w kolorze śliwkowym. Wkoło idzie rusza z jaśniejszego nieco aksamitu, przepięta na boku złotą broszą ze strasem. W środku dany bukiet z atlasowych róż w tychże samych odcieniach, z po nad nich wybiega pęczek pawich piórek.

Mało od kapotek różnią się toczki, więcej tylko w nich fantazyi. Zwrócił uwagę naszą czarny aksamitny, zwany *Roksolanką*, nabufowany nad czołem, cały naszyty błyszcząciami paciorkami, imitacją szmaragdów, rubinów i topazów. Z lewego boku wybiega pęk piór strusich, przytwierdzony czarną atlasową kokardą.

Inny znów toczek z aksamitu morderowego, cały nafałdowany. Nad czołem tworzy dyadem rusza upleciona ze szneli, w kolorach morderowym i blade różowym (*vieux rose*). Zdobi go egretka z drobnych piórek w dwóch odpowiednich kolorach. Główka podpięta w tyle aksamitną kokardą.

Dodajmy tu na zakończenie bardzo skromne kapelusiki marynarskie zwane *canotier*, przyjęte na ulicę dla młodych osób. Kolor ich zwykle czarny, granatowy lub Hawanna. Główkę mają średnią, rondo proste bez odwinięcia, objęte rulonikiem aksamitnym. Całą ozdobę stanowi czarna aksamitka przeciągnięta wkoło główki, a na boku maleńki pęczek piór strusich lub kapłonich. Inne opasane wstążką pekinową w pasy: miejsce piór zastępuje kokarda podniesiona do góry.

W okrywkach ważne dostrzegamy dziś zmiany. Obok ulubionych zawsze peleryn, pojawiają się paletociki średniej długości, wolno puszczone tak z przodu jak na plecach. Robią je z sukna lub tkaniny z wypukłym włosem (*bouclée*), w kolorach: czarnym, granatowym, Hawanna i rozmarynowym. Przez plecy i boki na każdym szwie idzie wązka pletnia albo łańcuszek z sutaszu, zwykle w czarnym kolorze. Tylne bryty nie doszyte u dołu na ćwierć łokcia, tworzą cztery klapy objęte odpowiednio. Przody spięte na podwójny rząd szmuklerskich albo metalowych guzików, po za tem naszyte z sutaszu, albo pletni. Kołnier *Medicis*, złożony z kłapek do góry podniesionych. Rękawy u ramienia szerokie, lecz nie zbyt roznieśiste, u ręki zakończone mankietem.

Strojnniejszy paletocik czarny aksamitny, wolno puszczone także z przodu i na plecach. Przez tylne bryty przechodzą cztery rzędy pasmanteiry. Na bufowanym rękawie, naszyta trzy razy wzdłuż także torsada, sięga tylko do łokcia, a potem powtarza się u ręki. Przody spięte na niewidzialne haftki, obłożone futrem kozy mongolskiej, u szyi kołnier z tegoż futra, podniesiony wysoko na uszy. W górze pleców, pod kołnierzem dana wielka kokarda ze wstążki atlasowej.

Widzimy również peleryny aksamitne (*velours du nord*), całe szamerowane sutaszem. Kołnier u nich wysoki z futra kozy mongolskiej, także obłożenie na przodzie. Peleryny te lekko watowane, podbite atlasem czarnym.

Płaszczki z szalów szkockich, jakie turystki angielskie wprowadziły tu zeszłej zimy, coraz się bardziej upowszechniają. Szale te grube i ciepłe, jedną stronę mają gładką, drugą w szeroką kratę; otacza je frendzla kręcona. Strona szalu gładka, służy na szeroki, wolno puszczone paletocik, sięgający powyżej kolan i na długie prosto spadające rękawy. Z przodu wielkie wyłogi w kratę, spięte na dwa rzędy srebrnych guzów, pokrywają przód cały. Kapturek do tego płasko wyłożony w kratę; od niego idzie wielki stojący kołnier. Przody po bokach objęte frendzłą, równie jak i kapturek.

Łagodna zima, jaką przeżyliśmy w tym roku, nasuwa domysł, że przyszła będzie twarda, nie bowiem nie powtarza się na świecie. W oczekiwaniu mrozów ukazują się też długie do ziemi okrywki, zwane *pelisse*. Widzieliśmy taką z czarnej bengaliny, podbitą lekko pikowanym atlasem. Od pleców, przez ramiona do przodu, przechodzi szeroki prawie na łokieć wolant z tejże materji, zaprasowanej w plisy; tworzy on pelerynę, jakby przytwierdzoną do karczka, którego wcale nie ma. U szyi dana opaska, od niej zaplisowana falbanka podniesiona do góry.

Na zakończenie dodajmy jeszcze model ładnego surducika z szarego wigoniu, podbitego flanelą, plecy tworzą obcisły żakiecik, z baskiną zachodzącą do boków, przody zupełnie wolne, spięte po lewej stronie na dwa wielkie guzy, jeden u stanu, drugi u szyi.

Rękawy szerokie w górze, ścięte od łokcia, od ramion spadają długie epolety. Kołnier do tego stojący, podniesiony bardzo wysoko.

Seweryna Duchńska

Kongres międzynarodowy berliński

w obronie

praw i dążeń kobiety.

(Ciąg dalszy).

Zgromadzenie powitała przewodnicząca na tem pierwszym posiedzeniu, pani Lina Morgenstern. Mówiła o celu i zadaniach kongresu i dlatego nie będziemy się zatrzymywać dłużej nad tem przemówieniem, które z natury rzeczy zawierać koniecznie musiało zbiór więcej lub mniej udanych ogólników. Podobnie wypada nam trakto-

wać sprawozdania delegatek z ruchu kobiecego w rozmaitych krajach. Są to sprawy mniej więcej znane i ogadane, i dlatego pobieżnie streścimy kilka z tych referatów:

Pani Stritt Marya w długim przemówieniu dała słuchaczom obraz dzisiejszego ruchu kobiecego w Niemczech. Oratorka kończy rzecz swoją temi słowy:

„Życie kobiety o tyle będzie pełniejszym, o ile ona lepiej nauczy się odgadywać przyszłość i o ile dla niej pracować potrafi.”

Armenka pani Melit Beglarjan doktor medycyny z Tyflisu, wywarła na zgromadzonych bardzo sympatyczne wrażenie. Opowiada ona, że Armenia obchodzi się dotąd bez ruchu kobiecego, co nie powinno było zdziwić nikogo, ale robi nadzieję, że przy wzrastającej oświacie, aspiracye kobiety przenikną i tam, co rozumie się zgromadzone uważają jako wróżbę nader pomyslną. Słuchaną była p. B. uważnie i przychylnie, a ta przychylność przebija nawet w sprawozdaniach gazet berlińskich, które tej — malowniczym kostyumem przybranej cudzoziemce z dalekiego Wschodu, ani myślą stawiać podobnego zarzutu, jaki postawiły kobietom naszym. Jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość!

Panna Elli Möller z Kopenhagi daje relacyę ze stanu kwestyi kobiecej w Danii. Opowiada zasłuchanym i zciekawionym uczestniczkom kongresu o wyjątkowym zupełnie stopniu rozwoju kwestyi kobiecej w Danii, budzi westchnienia zazdrości wyjawieniem szczegółów niewszystkim wiadomych, a dotyczących zdobyczy, jakie w tym kraju zdołała dokonać kobieta. Ze jest ona lekarzem wiedzą wszyscy, że w pedagogice znaczy bardzo wiele, także tajemnicą nie jest, ale potrzeba wiedzieć nadto, że w Danii są kobiety nauczycielkami a nawet dyrektorkami gimnazjów męzkich.

Trzeba koniecznie było jednak, choćby pobieżnie, scharakteryzować stan bezwładu męskiego w Danii, bo bez takiego komentarza nie łatwo będzie domyśleć się, co w tym kraju robi męczyzna, i jakiego rodzaju otwory zapychają tym biedakiem straconym. Bez tego nasz czytelnik na przykład, gotów pomyśleć sobie, że wszystko naprawdę przewróciło się do góry nogami „w państwie duńskim,” albo że wygląda gorzej o wiele niż za czasów ś. p. Jana Chryzostoma Paska, bo już ciż źle być musi tam, gdzie do wychowania młodzieży męskiej, bez kobiecej pomocy na żaden sposób obejść się nie można. Kończy oratorka wzmianką o tem, że ruch niewieści wziął początek swój w roku 1848, o czem istotnie mało kto wiedział, i że po za nim jest właściwie jedna tylko arystokracja, która się stale dotąd trzyma na uboczu.

Na tle jasnym obrazu wedle zapatrywań referentki, rażąco odbijają dwa niedostatki niby dwie plamy posępne: Kobieta nie korzysta w Danii z praw wyborczych i ma dotąd zamknięty dostęp do fakultetu teologicznego. Ale przyszłość... reszta wiadoma.

Angielka mistress Ormaston, która bezpośrednio po pannie Moeller wstępuje na mównicę, znajduje pożądaną sposobność do wykazania przewag kobiety angielskiej nad jej siostrzycą skandynawską. Przedewszystkiem kobieta warstw najwyższych nie waha się zejść między sfery robotnicze nawet, co istotnie dla ludzi wszelkich przekonań i opinii w kwestyi kobiecej, jest pouczającym niesłychanie, a wreszcie tych przewag jest i więcej jeszcze i nad niemi zatrzymuje się

oratorka długo bardzo. Co do nas ograniczymy się dla braku miejsca do wspomnienia o tem, że w szczęśliwej Anglii, kobieta może sprawować i sprawuje funkcye pastora, że przemawia z katedry, a na dowód przytoczyć możemy, że wedle słów m-rs Ormaston, ona sama używa tego przywileju i pełni ten obowiązek.

Co mówi doktor Kathe Schirmacher o kwestyi kobiecej na gruncie francuzkim, nie uważamy za stosowne przytaczać. Tak szczegółowo obznajmialiśmy czytelniczki w swoim czasie ze stanem umysłów niewieści we Francyi, że wszelkie dzisiaj wiadomości poczerpnięte z mowy p. Schirmacher musiałyby z konieczności być prostem tylko powtórzeniem drukowanego w „Tygodniku” przed paru miesiącami sprawozdania. Na końcu podaje mówczyni pod zatwierdzenie kongresu wniosek pani Potonié, w której imieniu przemawia; wniosek ten dotyczy utworzenia wielkiej międzynarodowej organizacji pracownic.

Pani Aleksandra Gripenberg z Finlandyi utyskuje, że stowarzyszenia kobiece w Finlandyi podlegają dotąd znacznym ograniczeniom, cieszy ją jednak, że dzięki inicjatywie rządu, żywiol niewieści warstw włościańskich znajduje do nich przystęp i korzysta z ich poparcia. Cel kobiet finlandzkich ten sam co wszystkich, a mianowicie: zrównanie zupełne z męczyzną na punkcie praw społecznych.

O innych nie wzmiankuje mówczyni, która rzecz swoją wygłasza w języku angielskim.

Z tego dotychczasowego jednak pacyfikacyjnego nastroju, wyjść nam koniecznie wypada, bo oto wchodzi na scenę żywiol burzliwy, zaczynają się wycieczki przeciw męczyźnie, a nawet gorzej niż wycieczki, bo potępienia namiętnie, które ze względu na obowiązkową sumienność sprawozdawczą, pomieścić nam tutaj także wypadnie.

Nie bardzo nam to po myśli — przyznajemy szczerze. Zaangażowani się czujemy do pewnego stopnia wygłoszeniem zapatrywań własnych w artykułach zapowiadających kongres kobiecy berliński. Wyraziliśmy wtedy nadzieję, że umiarkowane stanowisko jakie zajęła kobieta niemiecka wobec międzynarodowych uroszczeń, daje nam pewną rękojmię, iż obrady w Berlinie nie pójdą śladem kongresowego programu Paryżkich feministek — że wszystko tutaj zapowiada się umiarkowaniem, rozważniej i bezstronniej.

Niestety! Jak się pokazuje, ta kwestya ciągnie za sobą nieuchronny ferment pojęć, który wybucha przy pierwszej sposobności, zawsze z jednakiem rozgorzeniem i zawsze ku niezaprzecznej szkodzie dla całej sprawy. Wreszcie dajmy pokój uwagom, a zajmijmy się przytoczeniem treści niektórych przemówień kobiecych. Komentarzy one nie potrzebują żadnych, jak to czytelniczki przyznają same.

Oto p. Heighton z Amsterdamu ostrzega kobietę przeciwko przemocy męskiego egoizmu. Przekonywa, że dotąd męczyzna oszukiwał tylko kobiety.

I w Hollandyi na przykład studjuje kobieta filozofią, oddaje się medycynie, a pomimo to pod względem politycznym i prawnym jak była upośledzona niegdyś, tak jest do tej pory.

Dalej idzie odczytanie pisma hr. Butler-Hainhausen, która nie mogąc osobiście uczestniczyć w kongresie, przesyła swoje upomnienie obradującym, a nadto jest charakterystyczną tu missywa, żeby ją milczeniem pominąć można. Sędziwa protektorka kobiecego wyzwolenia powiada, że przeżyła cztery pokolenia i dziś spojrzawszy

po za siebie, ze zgrozą odwraca się od obrazów, które jej wyrzył w pamięci stosunek męczyzny do kobiety. Nic tam nie ma oprócz walki.

Od niedawnego dopiero czasu strona słabsza zaczyna pojmwować wielkość krzywd swoich; od kilkunastu lat dopiero zaczyna wiekowa niewolnica buntować się przeciw swojemu ciemniejszy. Jasny ztąd wniosek, że ten, który gnębił i upośledzał nie może być szlachetnym ani mądrym; jako silniejszy jest on tem godniejszy wzgardy, że wszelkimi środkami, którymi rozporządza, a więc sztyrdstwem i podstępem jeśli nie przemocą — ukrywanymi machinacyami, gdy mu nie starcza siły, stara się on i dziś jeszcze tłumić dążenia kobiety.

To się jednakże widać nazywa należytem postawieniem kwestyi na kongresach, kobiecych, a domyślać nam się tego wolno po przychylności... ba! po entuzjazmie nawet, z jakim przyjęto wyrazy, nad którymi każde trzeźwe: męskie czy kobiece — byle z jednostek zdrowych umysłowo złożone zgromadzenie, byłoby najspokojniej przeszło sobie do porządku dziennego przy liłościwem ruszeniu ramion.

Nie chcą, jak się pokazuje, zrozumieć niektóre kobiety, czego wolno im się spodziewać od praw, a czego od obyczajów; nie mogą nade wszystko oduczyć się tego wywodzenia jakichś wniosków ogólnych ze swoich osobistych, parafialnych czy koteryjnych stosunków.

A gdyby wiedziały jak tego rodzaju dziecinne wystąpienia pogębiają ich sprawę, z wielu względów dobrą i godną wymiaru sprawiedliwości! Ale dajmy pokój tym utyskiwanom; każda sprawa jak się pokazuje musi przejść nieuchronnie przez wszystkie swoje stadya i okresy, a ta faza w której dzisiaj znajduje się kwestya kobieca, daleką jest widać od dojrzałości.

Pani Moszczeńska przemawiała w imieniu kobiet swojej narodowości. Jeśli mamy wierzyć sprawozdaniu, (a kładziemy nacisk na to zastrzeżenie) rzecz referowana przez panią M. tak się przedstawiła kongresowi niewieściemu w Berlinie.

Od dwóch wieków kobieta nasza zajmuje stanowisko wybitne w poezyi, belletrystyce i pedagogii teoretycznej. (O filozofii zapomniiała pani M. a przecież i o tem można było coś powiedzieć). Na właściwe tory wprowadzić miała u nas ruch kobiecy Żmichowska Narczyza.

Ciężkie przejścia ekonomiczne, sprowadziły ruch kobiecy na tory stopniowej poprawy warunków materyalnych, i dlatego kobiety uciekają się do zawodów naukowych i praktycznych. Nauczyła zaś kobiety nasze dopiero pani Eliza Orzeszkowa tej wielkiej prawdy, iż nawet do spełnienia posłannictwa wskazanego kobiecie przez naturę i tradycją, potrzebuje ona fachowego przygotowania, i to właśnie stanowi niespożyta zasługę pani Orzeszkowej. Praca, niestrudzona praca, jest nieodzownym warunkiem, a społeczeństwo zrozumiało słowa swojej powieściopisarki i żwawo zabrało się do roboty. Dalej objaśnia referentka świat niewieści europejski, o studiach uniwersyteckich kobiety naszej, o udziale kobiet w pedagogii, o szkołach zawodowych w Warszawie i t. d., i t. d.

Wszystkie te ostatnie informacye o stanie rzeczy obecnym były, o ile sprawozdania donoszą, potrzebne, wiaregodne i wogóle zupełnie odpowiednie dla zgromadzenia, które ich wysłuchało, a nawet szczerze wdzięczny powinien być ogół

pani M. za wzmiankę np. o tem, iż u nas uczono dotąd kobietę więcej o obowiązkach, jakie ma do spełnienia, niż o prawach które jej przysługują. Bez względu na intencję referentki i na stopień sympatii, z jaką to wynurzenie przyjąć mógł kongres niewieści, ponawiamy naszą wdzięczność za ten szczegół, bo istotnie tak a nie inaczej miały się u nas te sprawy. Należało tylko dodać jednocześnie, że u nas kobieta w rodzinie zajmowała zawsze stanowisko godne zazdrości nie tylko dla Niemki, ale i dla kobiet innych narodowości, co byłoby może dało nieco do myślenia zgromadzeniu, które ciągle szturmuje o prawa, a obowiązki pomija milczeniem.

Takiej samej wdzięczności nie możemy niestety wynurzyć w zamian za te pierwsze objaśnienia dane kongresowi. Niezależnie od wysokiego uznania jakie żywi nasz ogół dla zasług literackich i nie-literackich Narcyzy Żmichowskiej, nie czuje się ten ogół obowiązany s. p. Żmichowskiej za jakieś mniemane jej apostołstwo w sprawie zniesienia pańszczyzny.

Nie odgadujemy zupełnie pobudek, jakie nasunęły referentce myśl niefortunną wypowiedzenia w Berlinie tego wszystkiego, tem bardziej, że jak powiedzieliśmy, ta informacja cała poczerpnięta nie wiedzieć z kąd.

Tak samo zdziwiliśmy się niezmiernie wycytawszy, że dzięki dopiero pani Orzeszkowej zabrała się do pracy, próżnująca, jak widać zawsze, kobieta polska. Czy jeszcze nie dosyć nalechtaliśmy miłości własnej pokolenia ostatniego, przypisując mu ów wynalazek pracy na naszym gruncie? Należałoby raz już zaprzestać tej zabawki, a przysięgając nareszcie, że dla nieusprawiedliwionych niczem tryumfów chwili obecnej, szarpać własną przeszłość przed obcymi, jest nieprzyzwoitością zupełną, jeśli nie gorzej jeszcze.

Skoro się gdzieś jedzie, należy się zastanowić do kogo, po co, i z czem?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nasi najmłodszy.

(Ciąg dalszy)

Cierpienie dla Kasprowicza to i wróg potężny, z którym zmagać się wystarcza mu męztwa, i zarazem bodziec twórczości, a jako taki wita go poeta słowami:

„bądź pozdrowiona,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!”

Tę samą myśl spotykamy w sonecie, którego końcowe strofy tu podaję:

„O rozspiewany, o szumiący lesie!
Wiem ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snąć go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczęśliwym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodye dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!”

Jednym słowem człowiek z ludu błogosławi cierpieniu, które dla jego natury silnej, zdrowej nie jest pierwiastkiem rozkładu, lecz przeciwnie spotęgowanego życia i twórczości bogatszej.

I samą tę bezstronność wreszcie, która pozwala poecie rzucać rembrandtowskie cienie na obrazki z życia ludu czerpane, jak tego przykład mamy w opowiadaniach: „Król Lear z Biedaczewa,” „Maciej Kosarczyk,” „Marcin Szafran,” „Hanka Olpińska” i t. d., lub jasne światła na postać szlachcica „Jana Rudawskiego” węzłami braterstwa i miłości związanego z ludem pańszczyznianym, bezstronność tę zaliczyć trzeba także do cech typowych gromady piastowej, działaniem wpływów postronnych nie wytrąconej jeszcze ze swej pierwotnej prostoty i prawości aryjskiej.

Jest więc Kasprowicze poetą ludowym, nie przez sympatię jak Brodziński, Lenartowicz, nie z zasady jak Goszczyński, Berwiński i inni pisarze demokratycznego obozu, lecz z samej istoty swojej, w której kojarzą się typowe pierwiastki charakteru ludowego.

Zatrzymajmy się jeszcze chwilę nad ostatnim zbiorkiem poezji Kasprowicza zatytułowanym: „Miłość,” „Miłość rozpacz,” „Miłość grzech” i wreszcie „Amor-vincens” (miłość zwycięzka).

Pierwszy i drugi poemacik zamykają w sobie dzieje stosunków miłosnych, których istotę stanowił pociąg zmysłowy jedynie, a wynikiem ich ostatecznym była wzajemna nienawiść lub pogarda, zbrodnia i do obłędu dochodząca rozpacz kochanków. Poeta zdaje się przychyłać do zdania „męża, co głosi, że miłość tak długo (świętych wam księga tę prawdę wyluszczy) Boskich promieni rozlewa się strugą, dopóki nie zostanie materijalną sługą.” Ponury nastrój panuje w tych dwóch obrazkach. Ostatni fragment dopiero „Amor vincens” odsłania przed nami horyzonty jaśniejsze. Jest to „kartka z dziejów duszy idealisty,” któremu „daną była przez łaskawego bogi zdolność, nad wszystkie ponętniejsza skarby, że mógł żywota nagie ostre głogi przemieniać w róże poezji.” Ale „jakowyś demon pędził do rozbicia łódź jego duszy poprzez fale wrzące namiętnych szalów i dążeń niezwykłych.” Była w nim sprzeczność dziwna „Podniosłe cele, co jak gwiazdy płoną na horyzoncie ludzkich usiłowań, w dziwne w nim duch ten łączył amalgama z tem, co jest niskie i brudne, jak plama.” Wśród tych rozterek dusznych doszedł do zwątpienia i rozpacz. Pieśń jego odzywać się zaczęła zgrzytem, będącym „antytezą wszelkiej pełni i wszelkiego życia.” W końcu zapragnął „pójść śladami, którymi śmierć biegnie.” Naprawdę próbowali leczyć go przyjaciele, napróżno popychali ku miłości, która „rozpaczą była albo grzechem.” Zbawienie znalazło się dlań w postaci kobiety, którą poeta zowie Ellenai i tak mówi o niej.

„A była żywą inkarnacją ciszy,
Co w jeden środek skupia władze ducha;
Uosobieniem miłości, co słyszy
Jęk najtajniejszy w wnętrzach ludzi, głucha
Na rozszalały prąd świata, haszyszy
Jego nie żadna; cnej pokory druba,
Wylaniem serca była, poświęceniem,
I dni, co idą, jasnym zrozumieniem”

Odkąd ona oddała mu swą miłość, „poszedł w majestacie potężnej woli, głosić bez wytchnienia naukę czynu, hasło odrodzenia.”

„Szedł z apostoła bożego pokorą,
Lecz i z odwagą pańskiego wysłańca,
Szedł krzepić ciało, wzmacniać duszę chorą
Rozpraszać zmroki blaskami kagańca.

I znowu wznosił się na świetlane smugi,
By tam słonego nie oszczędzał potu,
Dla wielkiej myśli, aby tam gdzie pługi
Skrzętnych oraczy mimo klątw, chichotu,
Prą w twardej glebie, nie był z nim ostatni.”

Taką jest „Amor vincens” poety.

Nie łatwą wogóle jest charakterystyka pisarza, którzy nie przekroczyli jeszcze kulminacyjnego punktu w rozwoju swoim.

Im dalej zaś znajdują się od tego punktu, im skromniejszy ilościowo dorobek twórczy poddawać przychodzi analizie, tem bardziej wzrastają trudności, tem częstsza staje się sposobność wydania mylnego zupełnie sądu.

Uwagi te mimowoli nasuwają mi się pod pióro w chwili, gdy przystępuję do naszkicowania paru postaci poetyckiego świata naszego, dotychczas mało bardzo znanych ogółowi.

Artur Oppman piszący pod pseudonimem Or-Ot, wydał w roku 1894 zbiorek poezji zatytułowany „Pieśni.” Najcharakterystyczniejszą częścią tej książeczki są: „Szkice z zaułków.”

Stare dzielnice Warszawy posiadają urok działający widać silnie na niektóre organizacje twórcze. Gomulicki zawdzięcza im swoje gawędy mieszczańskie, Or-Ot z upodobaniem szczególnem maluje cichy ich żywot. Uliczki wąskie, kamienice wysokie o czterech oknach frontu, charakterystyczne godła, ornamenta i t. d., składają się na wytworzenie nastroju, którym do pewnego stopnia przejmują się i ludzie, urodzeni i pędzący życie wśród tych starodawnych zabytków. Jakież piętno staroświecczości kładzie im się na duszach i postaciach, wyodrębniając ich od pozostałej ludności miasta. Te charakterystyczne znamiona ludzi i rzeczy chwyta poeta, przejmując się otaczającą go, a sympatyczną mu atmosferą, i powstają wtedy: „Szkice z zaułków,” lub licznie w ostatnich czasach po różnych pismach rozpraszane obrazki i typy „Starego Miasta.” Te typowe postacie „Dunaju,” „Ś-to Jańskiej,” „Piwnej” i t. d., to dusze nieskomplikowane, proste, ciche, ofiarne; to stróż, wojak stary, trzy stare panny (Trzy boginie) dożywające cicho skromnych dni swoich wśród miłych wspomnień młodości, to rozbitek, w terminie u szewca łaciarza aktor stary, któremu po życiu pełnem upojen artystycznych, mowę pogrzebową wygłasza majster:

„ścierając łzę z powiek:
To partacz, był panie, nie łaciarz,
Ot szkoda! Zmarnował się człowiek!”

I t. d., i t. d. A wszyscy oni zadowoleni z życia, spokojni, nie znający goryczy i rozterek wewnętrznych.

Wśród ruin wyrasta zieleń, obok starych żyją młodzi: student, szwaczka, ulicznik mały. W tym to świecie ubogich mieszkańców „Starego Miasta” lubi obracać się Or-Ot. Kocha on te dusze pokorne,

zrezygnowane, nie wiedzące nic o swej istotnej wielkości, którą poeta odsłania przed oczyma czytelnika, z subtelną ironią zestawiając ją z mizernymi warunkami ich bytu. Wogóle z obrazków tych występuje ku nam twarz poety napiętnowana uśmiechem łagodnego sarkazmu, który urodził się z zadumy nad dziwnym biegiem spraw ludzkich. Jest to twarz przyjaciela ludzkości, jak mówiono niegdyś, trochę smutna, ironizująca trochę.

Prócz szkiców Starego Miasta, w zbiorze, o którym wyżej, zasługują na podniesienie ilustracje do motywów Szopona, „Walc” zwłaszcza i „Preludium.”

„Och opleć mnie dłonią, och opleć białą!
I główkę swą złotą na pierś mi złóż,
Już stało się dziewczę, co stać się miało —
Ostatni... ostatni nasz walc to już.”

Słowa te oddają doskonale niespokojną, kapryśną, pełną niezrozumiałych porywów i zwrotów dziwnych a czarujących muzykę tych nie tańców, a marzeń.

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Bayreuth.

Żadnemu z kompozytorów muzycznych nie przybyło tyle sławy po śmierci, co Ryszardowi Wagnerowi. Za życia zyskał on sobie wielkie uznanie jednych, i surową bardzo ocenę drugich—po śmierci nie przejechał wprawdzie przeciwników swoich, ale za to wielbiciele jego geniuszu nie szczędzą mu oznak, wyjątkowego zupełnie kultu, który z biegiem czasu wzmacnia się ciągle.

Jeden na przykład z adoratorów Wagnera poświęca majątek i dwadzieścia lat pracy, aby stworzyć muzeum jego imienia; o liczebnych bogactwach tych zbiorów może dać pewne wyobrażenie katalog niedokończony jeszcze do dziś dnia, pomimo że już teraz obejmuje on dwa olbrzymie tomy in folio. Powieździeliśmy: bogactwa liczebne, bo wartość zebranych pamiątek nie dowodzi nic oprócz fanatycznej jakiejś czci dla mistrza, która prawdę rzekłszy, przechodzi w śmieszność niekiedy. Pióro stalowe, którem raz jeden pisał Wagner, jego bilet wizytowy, fotografie wszystkich hoteli, w których przemieszczał się przez jeden dzień chociażby—wszystko to nagromadzone tutaj, świadczy o fanatyzmie z jakim manifestują się dla pamięci Wagnera wielbiciele jego talentu, który uważają za całkowicie wyjątkowy.

Właściwą metropolią tej czci jest Bayreuth dopiero. Do tej nowej Mekki każdy prawowierny Wagnerianin zdąża na doroczne przedstawienia, a jak tam przyjmują obojętnych i przeciwników można brać miarę z tego co spotkało słynnego krytyka muzycznego Hanslicka, który raz jeden uległ pokusie sprofanowania obecnością swoją miejscowości wyłącznie poświęconej kultowi zmarłego mistrza.

Opinie Hanslicka o muzyce Wagnerowskiej znane były w całym Niemczech, to też śmiały krytyk trafił w Bayreuth na tego rodzaju objawy nienawiści, które mu nawet wolnego miejsca przy stole hotelowym zająć nie pozwoliły. A gdy dzięki uprzejmości jakiegoś ducha neutralnego, udało mu się zdobyć kącik dla siebie, zaprotestował jeden z Wagnerzystów głośno przeciwko obecności w sali restauracyjnej człowieka, który osobą swoją profanował pamięć twórcy nieśmiertelnej tetralogii.

To jedno dać może miarę ducha tolerancji, jaki panuje w Bayreuth.

Angielski korespondent do New-Review J. Runsiman opisuje szczególny wpływ jaki na umysł, najszczęśliwsze nawet pod względem równowagi, wywiera to dziwne miasto, z jego ludnością 25 tysięczną—miasto, które wyrzekło się tego, co zajmuje świat cały, które postanowiło sobie ignorować wszystko, cokolwiek nie zostaje w związku ze sławą Wagnerowską.

O niczem też tam ludzie nie rozmawiają, co nie dotyczy przedstawień, śpiewaków, teatru i maszyneryi doprowadzonej do nieznanego gdzieindziej doskonałości.

Nie ma domu, gdzieby wzroku przechodnia nie uderzył na wstępie widok portretu Wagnera, a w oknach każdego z magazynów widać rozłożone fotografie mężów, których nie zna wprawdzie nikt na świecie, ale którzy niemniej stanowią chwałę Bayreuthu. Są to wyłącznie śpiewacy, dyrektorowie orkiestry, i administratorzy teatru. Księgarnie sprzedają tylko komentarze do Niebelungów, a z okien otwartych dobywają się na ulicę ogłuszające dźwięki pogrzebowego marsza ze „Zmierzchu Bogów” Pochodu Walkyryj—jednym słowem: Wagner wszędzie, i o każdej godzinie Wagner. Pierwszy kelner podając rachunek w hotelu, nie zapomni nigdy opowiedzieć o repetycjach codziennych, o ofiarach niezmiernych, jakie ponosi administracja dla odnowienia i ciągłego udoskonalania maszyneryi teatralnej, o artyzmie wyjątkowym śpiewaków. I tu nawet Wagnerjada; ona w ustach ludzi wszelkiego stanu i powołania.

Jest tam rzeczywiście w Bayreuth ten wysławiany tak szeroko kunszt całego aparatu, od którego w znacznej części zależy doskonała inscenizacja oper Wagnerowskich, a to wszystko jak twierzą świadomi, dlatego że z pietyzmem stosują tu każdą uwagę i każde zalecenie zmarłego mistrza w rzeczach większej i mniejszej wagi zarówno. Nie mówiąc już o tem, że nie zamarzy się tu nawet żadnemu z artystów interpretowanie Wagnera wedle swoich indywidualnych zapartywań, jak to wreszcie z każdym innym kompozytorem miewa miejsce na świecie całym—nie mówiąc już o takich dowolnościach, któreby tutaj za zwyczajną a karygodną profanacją uznano, stosują tu dosłownie, to co przewidział arcy-mistrz, we względzie ugrupowania postaci. Każdy ich gest i poruszenie jest w Bayreuth obliczone na możliwie najwyższy efekt sceniczny i raz na zawsze postanowione.

Wszystko tu kolosalne, olbrzymie, niebywałe. I postaci bohaterów i sytuacje, ale że jedne i drugie wymagają odpowiedniej akcji, więc nie dziwi, że wysiłki płuc i krtani śpiewaków, przechodzą w Bayreuth także o wiele to wszystko, z czem się na jakimkolwiek innym teatrze spotkać można.

Złośliwi twierdzą, że owa obmyślona tak kunsztownie gestykulacja, która ma nieskończoną

ilość uczuć sama przez się wyrażać, nie jest bynajmniej obmyślona szczęśliwie. Od symboliki ruchów zażądał podobno mistrz za wiele, i dla tego skutku nie osiągnął. Niepodobna przecież przypuścić, aby odpowiednimi ruchami spisy czy lancy można wyrazić wszystko, co się dzieje w sercu człowieka, jak to właśnie ma miejsce w grze bohaterów.

Robią też zarzut, że skurcze twarzy heroin, które mają widzowi przedstawiać miłość, zazdrość, rozpacz i inne tego rodzaju uczucia, nasuwają raczej przypuszczenia o wyjątkowych cierpieniach, ale w organach trawienia jedynie, a nie w tym bynajmniej organie, który za siedlisko wszelkiego uczucia nawykli uważać ludzie śmiertelni.

Nie dowiedzie niczego, kto chce zbyt wiele dowieść, jak się pokazuje.

K.

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

Postacie ludowe tego stylu i zacięcia, do którego należał Kajetan Górecki, uważać musimy w naszych czasach jako typ zaginiony niemal doszczętnie.

Komu nie obce są warunki ich fizycznego i duchowego rozwoju, ten się ani wyrobieniu takiego typu przez wieki, ani jego zanikowi w obecnych warunkach, dziwić nie będzie. Wyrastała u nas w ludzie taka potęga i bujność fizyczna, gdy jej dano było pociągnąć dostatkami soków z łona ziemi żywicieli; — kształtował się taki ustrój moralny niepośledniej wartości i wdzięku, gdy go w rozwoju przyrodzonym nie powstrzymał nacisk równie nieopatrzny jak grzeszny. Z prapradziada rozsiadły dumnie na swoim zagonie, a więc zrosły z nim krwią i obyczajem, jeśli z góry nie był skazany na pracę bezowocną, jeśli pofolgowano jego wrodzonym dobrem popędem, a nie pognebiano w nim godności człowieczej, urabiał się taki kmięć piastowy ku zawstydzeniu tych wszystkich wpływów, które mu kiedyś cywilizacja późniejsza przynieść miała w darze.

Trzecie zaledwie pokolenie oddziela nas—ludzi żyjących dzisiaj, od tego typu nieporównanego, a już on dla nas niezrozumiałym stał się zupełnie i gdyby pieśń—jedyna, wiarogodna na świecie historia, nie była go nam przekazała w całym jego wdzięku pierwotnym, gdyby on na przykład nie był się przyśnił Kurzawie jakiemś, gdy z twarzą ku Bogu zwróconą rzuca ptactwu polnemu ziarno z namulonej dłoni, gotowibyśmy może po latach jeszcze kilkudziesięciu przypuścić, że nie istniał u nas nigdy człowiek podobny.

Był — istniał niezaprzeczenie, i to jest prawdą tak niezbitą, jak to, że go nie widzimy dokoła siebie, i że go wedle prawdopodobieństwa wszelkiego, oczy wnuków i prawnuków naszych także nigdy nie ujrzą.

Ukradł go nam postęp dobroczyńca, który miał go podnieść i jak mówił—uczłowieczyć, a tymczasem poprzestał tylko na odarcie jego ducha ze szlachetności wrodzonej, razem ze zdarciem z jego pleców pradiadowej sukmany; zabrał go sobie przemysł, duch czasu, za sprawą

fatum jakiegoś, którego przyjaznem, my przynajmniej nazwać nie możemy, bo nam żadnej z dotychczasowych obietnic swoich odnośnie do tego zapomnianego dziecięcia cywilizacji, nie ziściło.

Kto pamięcią sięga czasów, do których ten wymarły gatunek odnieść wypada, temu się on niezatartymi ślady w pamięci utrwalić musiał koniecznie. Z natury śmiały, zuchwały nawet, gdy się czuł dotkniętym przez jaką rzekomą pogardliwą wyższość — oddany i gotów do ofiar, gdy mu rąbek duszy ludzkiej okazano, miał ten kmięć w swoim obyczaju kilka rysów znamienych, w których całość jego wewnętrzne go nastroju odbijała się zupełnie: Witał i żegnał pozdrowieniem chrześcijańskim jedynie — nie dlatego, aby innego znać nie miał, ale dlatego właśnie, że ta forma jego duchowi najodpowiedniejszą się okazała; przy niej też pozostał aż do ostatnich czasów swego istnienia. Zapytany o to czyją jest własnością owoc jego pracy, odpowiadał rzewnem: „Najprzód Boskie — potem moje.” Zresztą pracownik niestrudzony, ubożego bez zasiłku od proga swego nie odprawił, sierotę, choćby sam był w nędzy, przygarnął; obejściem prosty, zapatrzony w jakąś dal tajemniczą, w młodości swojej — zamknięty w sobie i milczący w wieku dojrzałym, był on istotnie tem, czem go mieniła poezja: był drzemającym w jakimś półśnie, a czekającym swego przebudzenia, ołbrzymem.

Jednym z okazów należących do tego typu był właśnie ten, o którym mówić mamy, mieszkaniec ludnej nad Szreniawą leżącej wsi, Kajetan Górecki. Czterdziestoletni mniej więcej człowiek w chwili, gdy się to nasze opowiadanie zaczyna, był on na tej sadybie i na tej ziemi niewiadomo już którym z porządku w tym samym rodzie następcą. Wieś przechodziła dziedzictwem z ojca na syna od lat paruset; z każdym nowym dziedzicem zmieniali się ludzie wraz z upodobaniami posiadaczy, a nawet gospodarze pańszczyzniani z prawa i zwyczaju mniej poruszalni niż reszta, ustępowali niekiedy miejsc innym rodom kmiecym z bliższych i dalszych wiosek. Jedną tylko rodzina Góreckich trzymała się nieodstępnie tej chaty przydrożnej, najbliższej dworskiego obszaru — najpokaźniejszej, a zarówno kształtem jak mchem zielonym pokrywającym poszycia dachu, zdradzającej dawność budowli, i tożsamość gniazda ludzkiego, które ją zamieszkiwało.

Wytworzył się też w tym rodzie kmiecym odrębny zupełnie stosunek jego do dworu. W ogóle nie było tu w Porębie z dawien dawna nienawiści, podrażnień i niechęci, ale między właścicielem, a członkami rodziny Góreckich w każdym pokoleniu, zbliżenie było większe i poufalsze niż z resztą gromady. Kumano się oddawna obustronnie, a i rodzic Kajetana zmarły przed kilkunastu laty stał w metrykach kościelnych podpisany krzyżem świętym, jako ojciec chrzestny dzisiejszego dziedzica.

Sioło było duże, bo czterdzieści z górą osad liczące, ale wyjątkiem, ale człowiekiem zaufania i w pewnych szczególnych wypadkach powiernikiem dworu, był zawsze jeden tylko Kajetan, co nawet na jego osobistej przyszłości zarówno jak

na przyszłości jego nielicznej rodziny niekoniecznie dodatnio odbić się miało. Odkąd świat światem, a ludzie ludźmi, po wszystkie czasy wyróżnienie i przywilej jednały niechętnych a nawet nieprzyjaciół. O tem, co dotyczyło praw gromady rozmawiano z Kajetanem zawsze z zupełnem dla jego bezstronnej uczciwości uznaniem, a była to chwila w której sprzeczność interesów między dworem a gromadami dosyć jaskrawo występować zaczynała. Radzono go się, używano za pośrednika, liczono na jego wpływy uspokajające, a z tego wszystkiego wywiązywał się on z najskrupulatniejszą uczciwością, nie zdradzając nigdy interesów stanu do którego się pochodzeniem zaliczał, ale owszem szczerze łagodząc początki powaśnień, o których rozmiarze w przyszłości, sam jeden tylko z pewnością wiedział co trzymać należy.

O przyszłym posiadaniu ziemi mówił dziedzic z Kajetanem z zupełną otwartością; nie szczędził dodatnich barw, malując stan rzeczy po zniesieniu wszelkich powinności, i przejściu ówczesnych osad pańszczyznianych na zupełną własność ich warunkowych posiadaczy.

Kmięć słuchał, przyjmował do wiadomości, nader rzadko zapytał o szczegóły jaki — zupełnie tak, jak gdyby to nie było kwestyą najżywością dla niego i jemu podobnych.

— Jaki ten lud apatyczny — mówił niekiedy do proboszcza właściciel ówczesny Poręby. — Zdałoby się przecież, że to jedno chociaż wrażenie na nim robić powinno.

— Powiadasz jegomość, że nie robi — pytał stary proboszcz.

— Nie widzę. Oto taki Kajetan na przykład; zdaje się człek więcej rozwinięty umysłowo niż inni, a jak on to szczególnie przyjmuje.

— Cóż on powiada?

— Słucha, słucha, a potem kiedy go się spytam co o tem myśli, powiada mi, że przecież jego tu nikt dotąd nie wyrzucał z miejsca.

— A no i ma niby trochę racyi.

— Jakiej racyi? Żadnej racyi nie ma. Przecież to własność, uwolnienie od powinności, niezależność zupełna.

— Musi on tam coś mieć w głowie swego, bo to natura niezwykajna u tego człowieka.

— Co ma mieć, nie ma nic! Takie to jakieś wszystko śpiące szczególnie; ja się wysiłam do niego na wymowę, mówię i mówię, a ten patrzy w ziemię albo w niebo, pokiwa głową i odpowie: „Ja tam już nie do tego. Jeśli dzieciom ma być z tem lepiej, niechaj będzie...” A po chwili: „Byle Bóg dał, żeby było lepiej naprawdę.”

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wskazówki i rady.

Zupa z jarzyn w jesieni.

Oplukać dobrze kości od pieczeni czy zrazów, żyły i wszelkie odpadki, jak również kości od pieczonego rozbitego pozostałe, nalać wodą i gotować. Zamiast wołowych, można użyć kości od szynki, skórki od słoniny lub ogon wieprzowy. Tymczasem zagotować na rumiano łyżkę masła z pół łyżką mąki, rozebrać tym smakiem i włożyć w garnek. Marchew, galarepę, główkę włoskiej kapusty, tę ostatnią tylko na cztery części przekrajać, pół selera, kilka korzonków pietruszki, wszystko drobniutko pokrajać, zblanżerować czyli odparzyć w wodzie do zagotowania, a następnie wrzucić w garnek, gdzie są kości, posolić i niech się gotuje do miękkości. Poprzednio pół kwaterek białej fasoli odgotować jak zwykle, odebrać, wypłukać i zaraz razem z jarzynami włożyć w garnek do gotowania. Na sześć do ośmiu osób pół garnca zupy być powinno.

Gdy wszystko miękkie, przefaszerować zupę przez rzadkie sito, zagotować ażeby była gorąca i podać do niej grzanki krajane w kostkę, suszone lub usmażone na maśle.

Lucyna Cwierzakiewiczowa.

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie		na Prowincyi	
Rocznie . . .	rs. 4	Rocznie . . .	rs. 5 k. —
Półrocznie . . .	rs. 2	Półrocznie . . .	rs. 2 k. 50
Kwartalnie . . .	rs. 1	Kwartalnie . . .	rs. 1 k. 25

Adres redakcyi: *Chmielna Nr 26.*

Numer 40 wyszedł z druku i zawiera:

Polów ryb (z drzeworytem). — Pogadanki naukowe. — Władysław Nowicki: Listy Ciekawskiego z Wystawy Hygienicznej. — Michał Synoradzki: Sąd Boży, powieść z czasów Ryszarda Lwie Serce. — W powrocie do zdrowia (z drzeworytem). — Zakątek rodzinny, obrazek z życia młodzieży. — Powozy-samochody (z drzeworytem). — Po pracy (z drzeworytem). — Ciocia. — Niunia, Helenka, panna Helena, wiersz. — Baśń o sierotce Julisi. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Zadania i łamigłówki.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Kongres międzynarodowy berliński w obronie praw i dążeń kobiety (ciąg dalszy). — Nasi najmłodsi (ciąg dalszy). — Bayreuth. — Zkąd się biorą przestępcy? obrazek z niedalekiej przeszłości. — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM Andrzej Theuriet. Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 6).

A. WŁODKOWSKI, CZYSTA 8

znacznie powiększył dział towarów jedwabnych i poleca

NOWOŚCI:

Adamaszki czarne w najnowszych deseniach na suknie i okrycia od rs. 1 kop. 50.

Materye jedwabne gładkie czarne w niebywałym wyborze od rs. 1 do rs. 4.

Velours moiré we wszystkich modnych kolorach.

Brokatele, Adamaszki i Aksamity fantazyjne do przybrania sukien.

Fantazyjne jedwabie w jasnych i ciemnych kolorach na suknie i bluzki od 65 kop.

Wielki wybór Materyi białych gładkich i fantazyjnych na suknie ślubne.

Satin Duchesse, Satin, Merveilleux i Faille de France we wszystkich modnych kolorach.

Kanausy czarne i kolorowe od 45 do 95 kop. za arszyn.

Jedwabie na suknie wieczorowe i balowe od 50 kop.

UWAGA: Z powodu bardzo korzystnych zakupów ceny nadzwyczaj niskie lecz stale.

50512

ZAKOPANE.

Willa „Helena“ na Chramcówkach, pani Anna Kowalewska ofiaruje pomieszczenie w pensjonacie swym, odpowiednio na zimę urządzonym, paniom i młodym osobom, potrzebującym opieki i wprawy w obcych językach. 50-12

Warszawa, ulica DEUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL.”

Wybór wielki. — Ceny najniższe. 4171896

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHÓŁKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazjum, Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40, tamże Zakład froeblovski

L. Jahółkowskiej. 48459

MAGAZYN FUTER

TYTUSA KOWALSKIEGO

d. J. Penkala,

ul. Senatorska № 10, w Warszawie,

poleca piękne futra damskie i męskie, podług najnowszych fasotów. Modele oraz wszelkie nowości futrzane nadeszły. 51613

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie Jadwigi Chrzęszczewskiej

w Warszawie, Nowy-Swiat 21. 474726

NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE TOWARZYSTWO AKCYJNE pod firmą:

„St.-Petersburskie Laboratorium Chemiczne”

St.-Petersburg, Izmajłowski Prospekt № 27, dom własny,

złożone w 1860 roku,

nagrodzone medalem złotym na wystawie w Paryżu w 1889 roku.

COLD CREAM

Cold Cream waselinowy

Crème de Lys de Ninon dla skóry

zatwierdzony przez Urząd Lekarski w Petersburgu, jako niezawierający szkodliwych składników dla zdrowia.

Waselina perfumowana. Pâte Velours.

MIGDAŁOWE OTREBY.

Wyroby „St.-Petersburskiego Laboratorium Chemicznego” nabywać można we wszystkich znaczniejszych Perfumeryach i składach Aptecznych. Kupujący racza zwracać uwagę na obok zamieszczoną markę fabryczną i żądać wyraźnej firmy

„St.-Petersburskie Laboratorium Chemiczne,”

posiadającej tylko Skład Hurtowy

u p. PAWŁA WOLLENBERGA

w Warszawie, przy ul. Żabiej Nr 3, (od Przechodniej Nr 4)

a nie zaś — sklep detaliczny. 50912

Handlującym wysyła się cenniki bezpłatnie.



MAGAZYN DZIECINNY

Z. ŁASKIEJ,

Chmielna 18 (przy Brackiej),

Największy wybór gotowej konfekcyi dziecinnej. Przyjmują się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE. 48148

PIERWSZA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M^{ME} MERCÉRE

w Warszawie, Nowy-Swiat 20. 508112

Na wzór zakładów zagranicznych kursy teoretyczne i praktyczne kroju, szycia, modelowania i pasowania fasonów bez rysowania form. System oryginalny Paryski i Angielski. — Łatwy wykład w 4-ech językach. Warunki przystępne dla każdego. Po ukończeniu uczeniowie otrzymują Patenty z cechu. Pensyonarki korzystają mogą z konwersacyi francuskiej i fortepianu.

SPECYALNY MAGAZYN

OKRYĆ I FUTER DAMSKICH

A. Łojewskiej

10. BRACKA 10. 497310

Poleca NOWE fasony okryć jesiennych i zimowych, podług modeli paryskich od skromnych do najstrojniejszych. Zakiety od rs. 11, Burki od rs. 15, Peleryny od rs. 6. Rotundy, Paletoty na futrach i wacie. Oprócz gotowych rzeczy wielki wybór materyałów z których przyjmuje obstalunki.

Ulica MARSZAŁKOWSKA Nr 109.

Najpierwsza i największa w Warszawie Specjalna Szkoła kroju, szycia, wykończania ubiorów damskich i dziecinnych.

A. GALECKIEJ,

autorki metody kroju i t. d., prowadzącej swoje specjalne szkoły w Warszawie i Cesarstwie od lat 30-tu kilku — ostatecznie z córką Pelagią. Nauka ta prowadzona jest sposobem francuskim przy pomocy tylko jednego centimetru. Metodą własną na podstawie zasadniczych rysunków pewnych i nieomylnych, wraz z tekstem drukiem ogłoszonych, nabywać je można w księgarniach. Po ukończeniu tej nauki bardzo wiele pań, a nawet i mężczyzn krawcy pozakładali Magazyny, Szkoły kroju w różnych stronach Cesarstwa i Królestwa i prowadzą je dotychczas.

RS. 10

nauka kroju sukien damskich i dziecinnych gruntowna, która po paru miesiącach od razu daje chleb w rękę uczącym się. **Panie przyjmuje się z mieszkaniem i stołem.**

Szkoła specjalna kroju i szycia A. GALECKIEJ. 50612

Ulica MARSZAŁKOWSKA Nr 109.